

Bagna Polesia



Najprostsze skojarzenie związane z Polesiem to oczywiście bagno. Polesie to bagna. Tak było w przeszłości, jeszcze w okresie międzywojennym, a jak jest dzisiaj? Wjeżdżając na obszar Polesia od strony Brześcia trudno szukać obszarów bagiennych. Nawet zagłębiając się coraz dalej o prawdziwe rozlewiska niezwykle trudno. Wokół ciągną się olbrzymie pola kołchozowe równo zasiane jednym rodzajem upraw. Trudno o wodę, jeżeli już jest to na dole kanałów przecinających pola. Latem dominują kłęby kurzu wzbijane przez silniejsze podmuchy wiatru.

Obecny wygląd krajobrazu poleskiego to efekt przeprowadzonej na wielką skalę w latach 50 i 60 XX wieku akcji melioracyjnej. Olbrzymie buldożery, spychacze i wyrównywarki w systemie współzawodnictwa pracy zdołały zamienić nieużytki w uprawne pola. Komunizmowi udało się zrealizować plany osuszenia bagien powstałe jeszcze w XIX wieku. Kolejne rządy, najpierw carskie, później polskie przymierzały się do rozpoczęcia prac. Ogrom zadań przytłaczał, koszty finansowe przerażały, były plany ale brakowało realizacji. Nie wiadomo jak przeprowadzić efektywną komasację małych, rozdrobnionych działek rolnych chłopów poleszuckich. Jak zachęcić do pracy nad podniesieniem jakości upraw. Trudności zdawały się uniemożliwiać wykonanie jakiegokolwiek pracy. Bagna poleskie wydawały się być wieczne. Aż przyszedł komunizm, podjęta w Moskwie i przekazana do realizacji do Mińska decyzja o uczynieniu z Polesia spichlerza państwa sowieckiego, zaczęła być realizowana. Tam gdzie rosła nienadająca się nawet pod wypas trawa zaczęły kwitnąć ziemniaki, dojrzewać zborze. Polesie w latach 60 XX wieku było świadkiem komunistycznego cudu. Nie tylko lokalna, ale także ogólnokrajowa prasa sowiecka rozpisywała się o sukcesach w osuszaniu bagien. Nikt nie kwestionował zamiany nieużytków w uprawne pola. Małe osady były likwidowane, system kołchozowy wydawał się świetnie nadawał się do zagospodarowania pozyskanych ziem.

Prowadząc akcję nikt nawet nie zauważył, że pozbawione nadmiaru wody pola szybko zaczynają się wyjaławiać. Rozwiązaniem było stosowanie nawozów sztucznych. Nie myślano o dalekosiężnych skutkach przeprowadzonej akcji. Dzisiaj Polesie, zwłaszcza latem nie przypomina terenu zrośniętego z wodą a raczej obszar półsuchy. Kolejna wielka inwestycja dwudziestowiecznego człowieka okazała się być wielce dyskusyjną pod względem ekologicznym. Zniszczono cały ekosystem. Dzisiaj bagna to jedynie niewielki skrawek Polesia, głównie rezerwat przyrody.



Chcąc poobcować z pozostałościami prawdziwej poleskiej przyrody trzeba się udać właśnie do jednego z takich rezerwatów. Wybór był prosty, jak już się zagłębiać w błota to w te najdziksze. Największym rezerwatem są Błota Olmańskie. Dzięki splotowi różnego rodzaju okoliczności zdołały one przetrwać do naszych czasów swoim prawdziwie pierwotnym kształcie. Historycznie stanowiły część majątku ordynacji dawidogródzkiej, gdzie właściciele dbali o prawidłową eksploatację gruntów. Były naturalnym terenem

łowieckim. W okresie międzywojennym przez bagno przebiegała granica ryska. Wrogość obu systemów państwowych II Rzeczypospolitej i komunistycznej Białorusi uniemożliwiała praktycznie jakąkolwiek sensowną, gospodarczą eksploatację tych obszarów. Pod koniec dwudziestolecia planowano nawet stworzenie w tym rejonie po stronie polskiej oficjalnego rezerwatu przyrody. Plany te przerwał jednak wybuch wojny. Po zakończeniu działań zbrojnych i nowych ustaleniach granic w Europie, gdy całe Polesie weszło w skład Związku Sowieckiego, nie powrócono co prawda do koncepcji rezerwatu, ale zastosowano może nawet bardziej skuteczniejsze rozwiązanie ratujące przyrodę – na Błotach Olmańskich Armia Czerwona zorganizowała poligon artyleryjski. Zakazano miejscowej ludności wchodzić na teren wojskowy, a mieszkańców okolicznych wiosek wysiedlono. W krótkim czasie przyroda, nawet tam gdzie już było widać ingerencję człowieka, zaczęła odbudować swoje wpływy. Bagna zaczęły ponownie dziczeć. Po upadku Związku Sowieckiego, państwo białoruskie chroniąc posiadane dobro, jedno z niewielu już tak dziewiczych terenów Polesia, objęło je ścisłą ochroną.

Lepszej rekomendacji poszukiwaczom bagiennych przygód trudno sobie wyobrazić. Samodzielna wyprawa była jednak zbyt ryzykowna. Mieszczuchom wyposażonym tylko w mapę, nawet bez kompasu, nie trzeba było długo tłumaczyć, iż bez miejscowej pomocy nie ma co planować wypadu. Należało poszukać przewodnika.



Dojazd do ostatniej miejscowości, nie przypadkowo zwanej Olmany, wciśniętej od wchodu w błota a od południa zamkniętej granicą z Ukrainą, nie nastroił większego kłopotu. Od razu skierowaliśmy się do towarzyskiego centrum wsi, czyli jedyne, kołchozowego sklepu. Szybko znaleźliśmy też osobę, gotową za określoną sumę amerykańskiej waluty udać się z nami na bagno. Po ustaleniu ceny nasz przewodnik zniknął na kilka minut, co wykorzystaliśmy na zrobienie najpotrzebniejszych spożywczych zakupów. Zawitaliśmy też do części gospodarczej sklepu, gdzie wyeksponowane były wielkie gumowe buto-spodnie do przemieszczania się po wodzie

sięgającej nawet po pas. Zignorowaliśmy ten zakup, nie opłacało się robić zakupu na jeden raz, po za tym mieliśmy przywiezione z Polski kupione w firmowym sklepie nowe z wysoką cholewką buty trekkingowe. Zapewnienia o nieprzemakalności materiału, wykorzystującego rozwiązania kosmiczne, za które trzeba słono płacić, wydawały się być najlepszą gwarancją jakości. Już wkrótce mieliśmy się przekonać jak mocno się myliłmy lekceważąc niedrogie i karykaturalnie wyglądające, ale jak praktyczne buto-spodnie.

Po kilku minutach niecierpliwego oczekiwania wrócił nasz przewodnik. Oprócz wiosła, co zrozumiałe bo wybieraliśmy się nad znajdujące się w głębi bagna jezioro, w drugiej ręce dźwżył siekiere. Nie mieliśmy odwagi zapytać się o siekiere, fason trzeba było trzymać do końca.

Idziemy, nie czas już się wycofywać. Suchy las szybko się skończył i rozpoczął się podmokły teren. Ziemia zaczęła chwiać się pod nogami. Dziwne uczucie, jakby się było lekko wstawionym i na dodatek chodziło po wodnym łózku. Szybko się jednak okazało, że problemy z poruszaniem się po bagnie mamy tylko my, nasz przewodnik pewnym krokiem zmierzał do przodu. Prawdziwe kłopoty zaczęły się jednak, gdy pod nogami zaczął się usuwać grunt. Zrozumieliśmy różnicę pomiędzy małymi bagnami, jakich wiele w Polsce a prawdziwymi mokradłami na Polesiu. Cienka warstwa trawy, która rosła na wierzchu kilkumetrowej głębi torfowej nie była w stanie utrzymać naszego ciężaru. Co chwila zapadaliśmy się po pas w ohydnie pachnącą maź wodno-torfową. Nasze nieprzemakalne buty nie miały żadnych szans. Nawet najbardziej reklamowany goreteks nie ochroni od wody wlewającej się od wewnątrz. Jako takie poruszanie umożliwiały jedynie prowizoryczna droga zrobiona z rzuconych kłód drewna. Jak poinformował nasz przewodnik drogę zrobili jego przodkowie, choć sam nie był w stanie określić kiedy. Dawno - to była jego odpowiedź.

Kilkukilometrowa droga do jeziora zajęła nam dwie godziny. Co chwilę zapadaliśmy się po pas w błotnej mazi.

Wydawało się, że w każdej chwili bagno zażąda ofiary. Siły opadały szybko. Wydobywanie się brunatnej mazi było coraz trudniejsze. Czym więcej potu znajdowało się na ciele tym więcej komarów było wokół. Żadne środki odstraszające nie działały. Miało się wrażenie, że wręcz odwrotnie – jedynie pobudzają małe brzęczące stwory. Prawdopodobnie okazja na tych odludnych terenach znalezienia żywiciela była tak mała, iż komary wykorzystywały każdą nadarzącą się okazję do zaatakowania.

Badania terenowe, tak miłe urozmaicenie badań archiwalnych, zaczynały nam nieźle dawać się we znaki. Żaden nawet najlepszy przedwojenny opisy bagien poleskich nie zastąpi własnego doświadczenia wędrówki. Tak często czytane opisy o dziewiczości i zarazem niegościnnosci Polesia nabierają zupełnie nowego wydźwięku. My mamy za sobą jedynie doświadczenie kilkugodzinnej wędrówki a nie perspektywę mieszkania na tej pięknej, ale jak trudnej bagnistej ziemi.

Do celu naszej wędrówki Jeziora Zasumińskiego Wielkiego prowadzi prawie całkowicie zarośnięta rzeczka. Teraz też okazuje się po co naszemu przewodnikowi była potrzebna siekiera. Na rzece przepięte były łańcuchami i kłódkami do drzew łodzie. Siekiera okazała się kluczem. Przewodnik bez żadnych ceregieli ściął drzewo w Parku Narodowym.

Jezioro o brunatnym kolorze wody wyraźnie miało zapach torfu. Łódka o bardzo niskich burtach obciążona ciężarem trzech mężczyzn, była mocno zanurzona w wodzie. Większe fale powodowały przelewanie się wody do środka. W normalnych warunkach służyła miejscowej ludności do nielegalnego połowy ryb. Byliśmy cały czas na terenie Parku Narodowego.

Bagna Olmańskie to dzisiaj jedno z niewielu tak dziewiczych miejsc na Polesiu. Tu można jeszcze poczuć pierwotny charakter mokradeł. Legendowe, wydawało się do tej pory, powieści o całych stadach bydła wciąganych przez torfowiska nabierają innego wymiaru. Ruchomy, cienki dywan z trawy, przykrywający błotną maź wymaga pokory. Poruszanie się po tak ruchowym gruncie zmusza nieprzyzwyczajone osoby do niesamowitego wysiłku fizycznego. Pomimo jednak tych wszystkich trudności, warto, o ile jest to możliwe skorzystać z nadążającej się okazji i poczuć smak Polesia, tego prawdziwego błotnego Polesia.

Autor: Wojciech Śleszyński